



## Wolne głosy

KRZYSZTOF OŻEGOWSKI

# SHORT CUTS

PREZENTUJĄ SUBIEKTYWNY ODBIÓR RZECZYWISTOŚCI PRZEZ AUTORA I NIE POWINNY BYĆ UTOŻSAMIANE Z OFICJALNYM STANOWISKIEM WIL

Trwają XX Zimowe Igrzyska Olimpijskie w Turynie. Jak zwykle, Polacy nie odnoszą na nich żadnych sukcesów. Na wytłumaczenie tego faktu przez działaczy sportowych przyjdzie nam zapewne jeszcze poczekać. Tymczasem w jednym z wywiadów dr Robert Śmigieński, szef polskiej misji medycznej na igrzyskach w Turynie, w nieco szokujący sposób uzasadnił, dlaczego nasi zawodnicy osiągają takie, a nie inne wyniki. Otóż stwierdził, że najlepsze rezultaty można uzyskać, stosując niedozwolone środki dopingujące. Skuteczne i niewykrywalne preparaty są jednak bardzo drogie, dlatego stać na nie tylko bogate federacje narodowe lub zawodników, którzy *dobrze żyją* z uprawiania sportu. Oczywiście, w wymiarze *zachodnim*, a nie polskim. Ponieważ w Polsce na uprawianiu sportów zimowych nie można zarobić *naprawdę* dużych pieniędzy, dlatego – jego zdaniem – nie ma problemu dopingowania wśród polskich zawodników (z wyjątkiem wpadek będących wynikiem samowoli zawodnika, który użył nieznanego, powszechnie dostępnego leku, nie zdając sobie sprawy, że zawiera on niedozwoloną substancję) i wyniki są takie, jakie są.



Zostańmy przy igrzyskach, a właściwie przy sporcie wyczynowym w ogóle, chociaż właśnie podczas igrzysk w Turynie możemy się przekonać, czym jest dzisiaj sport uprawiany na mistrzowskim poziomie i jakie są konsekwencje takiego, a nie innego stanu rzeczy. Wszyscy, którzy mówią o sporcie i do jego uprawiania zachęcają, szermują hasłem *Sport to zdrowie*. Lekarze sportowi mówią: *Tak, ale nie sport uprawiany wyczynowo*, bo w tym wypadku przychodzi na myśl inne hasło: *Przez sport do kalectwa*. Konsekwencją tej konstatacji jest stwierdzenie: *Ruch to zdrowie* i namawianie ludzi do... no, właśnie – nie do... *uprawiania sportu*, jako określenia mającego wydźwięk nieco już pejoratywny, tylko do... *większej aktywności ruchowej*. Ciekawe jest przy tym, że większość tradycyjnie uprawianych dyscyplin sportu jest w zasadzie niezdrowa dla ludzkiego organizmu. W tym miejscu wielu zapewne zaprotestuje: Jak to?! A tak to, odpowiem, bowiem taka już jest ludzka natura, że człowiek chce osiągać coraz lepsze wyniki, równocześnie nie przemęczając się za bardzo. Efektem są np. wyjazdy na narty bez uprzedniego przygotowania organizmu do innego typu wysiłku, co często kończy się urazami, któ-

rych można by uniknąć, gdyby... Inną metodą jest sięganie po, przepraszam za eufemizm, *medyczne wspomaganie treningu*. Jak twierdzą złośliwi, różnica między *wspomaganiem* a *dopingiem* polega na tym, że o wspomaganianiu mówimy dopóty, dopóki nikt nie zrobi niespodziewanego badania, które da pozytywny wynik. Jeśli tak się stanie, mamy do czynienia z zabronionym dopingiem. I wtedy podnosi się larum. Wszyscy są oburzeni i potępiają nieszczęśnika, mimo że w duchu cieszą się, że to nie oni wpadli lub ich zawodnicy. W tym miejscu doszliśmy ponownie do igrzysk w Turynie, a konkretnie do tego, jakie są konsekwencje faktu, iż większość ludzi uważa, że nie ma czystych sportowców wyczynowych i każdy z nich stosuje doping. Otóż na zimowych igrzyskach olimpijskich w Turynie bardzo dużą aktywność wykazują agencje zajmujące się zwalczaniem dopingowania. Dodatkowo do tych działań włączyła się włoska policja, gdyż we Włoszech doping jest uznawany za przestępstwo pospolite. Efektem wzmożonej aktywności kontrolerów są niekończące się badania sportowców na obecność niedozwolonych środków wspomagających. Niestety, skutkiem ubocznym takiego postępowania jest coraz mniejsza wiara kibiców w rangę wyników uzyskiwanych przez zawodników, bo w każdym momencie może się okazać, że medalistą jest ktoś inny, gdyż zwycięzca olimpijski stracił właśnie medal lub może go stracić w przyszłości, ponieważ próbki można badać przez 5 lat (na marginesie, współczuję uczestnikom teleturniejów, którzy mogą być zapytani o jakiegoś mistrza olimpijskiego, a w dniu nagrania programu nie sprawdzili w Internecie, czy ten zawodnik nadal nim jest). Inną patologią, będącą efektem niekończących się nalołów kontrolnych na kwatery reprezentacji narodowych, jest zmęczenie psychiczne i fizyczne sportowców. Na najważniejszej w ich życiu imprezie sportowej powinni być przecież w optymalnej formie, a nie są, gdyż zerwano ich o pierwszej w nocy i badano do czwartej, a na starcie musieli być tego dnia o ósmej rano. Nie, to nie jest wymyślony scenariusz, tak w Turynie postąpiono z biegaczami narciarskiej reprezentacji Austrii. Naszą reprezentantkę z kolei trzykrotnie kontrolowano w ciągu siedmiu dni. Zwalczający doping w sporcie na pewno zaraz stwierdzą, że wszystko jest zgodne z przepisami. I tak zapewne jest, ale... nie każdy cel uświęca wszystkie środki i nie można dać się zwariować! Nie może tak być, że każdy sportowiec *a priori* jest uznawany za przestępcę i w zasadzie to on powinien udowodniać, że tak nie jest. Myślę, że z igrzyska w Turynie powinny skłonić zarządzających światowym sportem do refleksji, że walka z dopingiem, choć jest bardzo ważna (przynajmniej wg większości), nie powinna przesłaniać samego wydarzenia sportowego. I najwyższa już chyba pora, żeby ucywilizować kontrole dopingowe, które nie powinny wypaczać wyników zawodów. Oczywiście, mam na myśli procedury zbierania próbek, a nie efekty badań laboratoryjnych. Odnoszę wrażenie, że dziś niektórzy sportowcy, nie mogąc wygrać na boisku, używają do tego kontrolerów, którzy co prawda w rywala nic nie wykryją, ale pognąbią go psychicznie i fizycznie częstymi kontrolami.



Ale zostawmy wyżyny wokół Turynu i wróćmy na ziemię (nasze). Gdy tam zmagania sportowców dostarczają kibicom niezapomnianych wrażeń, u nas wrażeń dostarczają politycy lub parapolitycy, w tym wypadku prezes NFZ Jerzy Miller. 16 lutego na konferencji prasowej oznajmił

on, że będzie wprowadzony pilotaż Rejestru Usług Medycznych i że ruszy od kwietnia w Wielkopolsce, a konkretnie w Poznaniu i powiecie leszczyńskim. Ktoś powie: nareszcie! I zapewne będzie miał rację, gdyż system taki powinien usprawnić i ułatwić pracę lekarzy, informując ich np. o tym, czy osoba, która się do nich zgłosiła, jest ubezpieczona i czy są za nią opłacone składki. Niby drobiazg, ale do tej pory, a minęło już sporo czasu, NFZ ani wcześniej kasy chorych nie dostarczyły lekarzom takiego narzędzia, choć instytucje te miały ustawowy obowiązek to uczynić (ale zapewne to wszystko mieściło się w konwencji: nam – czytają: NFZ/KCh – wolno wszystko, czyli także nie wykonywać zapisów ustawy, a wy – świadczeniodawcy – musicie realizować wszystkie, nawet najbardziej absurdalne, nasze pomysły). Jednakże poza zadowoleniem, że wreszcie *coś się ruszyło w tym temacie*, pojawia się refleksja: Jak to z tym RUM-em będzie, skoro (jak podała Gazeta Wyborcza) rzecznik prasowy WOW NFZ w Poznaniu stwierdził, że *o terminie rozpoczęcia pilotażu dowiedzieliśmy się z mediów i na razie nie wiadomo, ilu mieszkańców Poznania zostanie objętych programem*. Co prawda, od lat doświadczając niespodziewanych i zaskakujących decyzji centrali NFZ, nie jesteśmy specjalnie zdziwieni sposobem poinformowania oddziału, który ma realizować program i właściwie można stwierdzić, że i tak wcześniej podano tę informację, gdyż równie dobrze można to by było zrobić np. 30 marca, informując, że system ma funkcjonować od 1 kwietnia. Zresztą być może wszystko to jest takim właśnie primaaprilisowym żartem, gdyż niewiadomych jest więcej. Ot, choćby, jaka to będzie karta, gdyż w jednych wypowiedziach słyszymy o karcie chipowej z mikrochipem, a w innych o karcie typu flash, gdyż jest bardziej pojemna, a i czytniki do kart są tańsze. Innym problemem jest to, w jaki sposób będzie odbywała się komunikacja w systemie. Wiara w to, że Internet jest powszechnym medium (i do tego niezawodnym), jest wiarą naiwną, pomijając fakt, iż nie ma jeszcze w Polsce obowiązku posiadania łącza internetowego, a próba niekonstytucyjnego wprowadzania takiej powinności może się skończyć tak, jak obowiązek posiadania telefonu, narzucony rozporządzeniem ministra zdrowia w sprawie recept lekarskich. Wymóg

ten został właśnie zaskarżony przez jedną z lekarek. Innym pasjonującym obserwatorem aspektem tego wdrożenia jest walka gigantów informatycznych o realizację zlecenia. O ile w tej chwili można odnieść wrażenie, że szala przechyliła się na stronę firm *związanych z Prokomem*, jak to ładnie zaznaczają media ogólnodostępne, o tyle niedługo libella może się wahać w drugą stronę i górą będzie Computerland. A ponieważ gra, żeby nie powiedzieć: walka, toczy się o bardzo duże pieniądze, możemy się spodziewać jeszcze wielu zawirowań wokół tego tematu.



Na koniec mała, w porównaniu z omawianymi powyżej, sprawa. Jak Państwo zauważyli, a może i nie zauważyli, ten numer *Biuletynu Informacyjnego WIL* jest zrobiony nowymi siłami. Mówiąc nowe siły, nie mam na myśli składu kolegium redakcyjnego, tylko firmę zajmującą się składem i drukiem naszego periodyku. Konsekwencją tej rewolucji jest pewna zmiana wyglądu *Biuletynu* (pisząc te słowa, antycypuję, gdyż jeszcze nie widziałem nowej makiety, tylko dane mi było usłyszeć o kilku pomysłach). O tym, jak ważny jest wygląd czasopisma, wiedzą wszyscy wydawcy. Przygotowanie nowej makiety jest zwykle procesem długotrwałym i trudnym, wymagającym wielu dyskusji i zazwyczaj, niestety, kosztownym.



I ostatnia sprawa, ale przez to wcale nie najmniej istotna. W związku z faktami opisanymi powyżej pragniemy serdecznie podziękować redaktorom Walerianowi Ignasiakowi i Przemysławowi Kidzie za wieloletnią współpracę przy tworzeniu *Biuletynu Informacyjnego WIL*. To dzięki Wam *Biuletyn* wygląda obecnie tak, jak wygląda, a między innymi Wasz trud został doceniony przez prof. Bralczyka, który na spotkaniu redaktorów wszystkich biuletynów wydawanych przez Izbę wysoko ocenił poziom edytorski naszego miesięcznika. Podziękowania kierujemy także do firmy Elanders z Płońska, gdzie przez ostatnie kilka lat *Biuletyn* był drukowany, za dobrze wykonaną pracę, w efekcie której pomysły redakcji osiągały ostateczny szlif.

www.wil.org.pl  
nowość: automatyczna giełda  
sprzętu i pracy